№ 14. Warszawa, dnia 25 Marca (6 Kwietnia) 1881 r. Rok II.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.
POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.
Cena pojedyńczego numeru 25 kop.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej,
w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

Drugi wyjątek z tragedyi w 5 aktach*) p. t.

„KAMBYZES,"

PRZEZ

Juliana Łętowskiego.

AKT PIERWSZY, SCENA PIĄTA.

(*Kambyzes, widocznie znużony, w ponurem zamyśleniu, spoczywa w krześle po prawej, obok niego w pokornej postawie, stoi Gaumata; w głębi słudzy przy kadzielnicach podsycają ogień od czasu do czasu, nie wysuwając się jednak naprzód sceny nigdy, i nie wyrażając wcale zainteresowania swego akcyą sceniczną*).

Kambyzes (*jakby do siebie*)

Ojciec nie żyje... Jak ten żywot ludzki
Kruchy i wiotki... nieprawdaż, Gaumata?..
Kilka dni temu ojciec był wesoły
I wielki... A dziś?.. Dotykałem ręki —
Gaumata!—potem wilgotna i zimna!
Kilka dni temu, czyżbym był zamarzył
O rychłym tronie?..

(*Chwila milczenia — oddycha z trudnością, przecierając czoło dłonią; nagle, jakby chciał otrząsnąć się z dręczących myśli*)

Słuchaj, czy psy moje
Dobrze dziś jadły?

Gaumata.

Jak najlepiej, królu!

Kambyzes.

Czy wszystkie zdrowe?

Gaumata.

Zupełnie.

Kambyzes.

Wesołe?

Gaumata.

Jak zawsze.

Kambyzes.

(*zadawał poprzednie pytania pospiesznie, nie zważając prawie na odpowiedzi—dopiero ostatnią zastanowiony*)

Powtórz!

Gaumata (*zmieszany cokolwiek*)

Jak zawsze—wyrzekłem...

Kambyzes.

Gaumata, ty mnie zadziwiasz chwilami!
Inny na twojem miejscu, powiedziałby
Z pewnością: Królu, psy twe dziś nie jadły —
Królu, psy wszystkie chorują—i wreszcie:
Psy twoje wszystkie są niezmiernie smutne,
Bo ciebie, królu, już całe dwie doby
Nie oglądały!.. Gaumata, albo
Bardzo źle chęci moich psów tłumaczysz,
Lub one głupie są—a ty zbyt mądrym...

Gaumata (*na stronie*)

Męki!

Kambyzes (*do siebie*)

Zgorzkniałem dziwnie!.. Lecz to przejdzie...
Przejść musi—jutro...

(*zamyśla się jak wyżej*)

Gaumata (*patrząc z boku na króla, n. str.*)

Gdybym wierzył w bóstwa,
Tobym ich prosił, by mi teraz właśnie
Dodały siły wytrwania....

Kambyzes.

Jak sądzisz —
Czy władztwo Persyi, cięższem jest od juków,
Które na karki wielbłądów wkładają
Moi służalce?

Gaumata.

Królu — —

Kambyzes (*nie czekając odpowiedzi*)

Pewnie cięższe —
I wiele cięższe!

Gaumata.

Królu, wobec ciebie
Sługa twój niczem — ale wszystkie myśli,
Słowa, pragnienia, uczynki—na zawsze
Gaumata tobie poświęci, o! panie,
I twojej sprawie...

Kambyzes (*wybuchając dawniejszym sarkazmem*)

Ha, ha, ha, Gaumata!
Jeżeliś niczem—to cóż ty mi możesz
Pomódz?.. Jeżeli tyś niczem—to czemże
Są inni—głupsi?.. Pomyśl tylko zatem —
Tożbym ja władał nad marnemi źdźbłami,
A to i lada nędzny wiatr potrafi!..
Nie—nie! Ja lubię silnych—jak znój lubię —
Lubię, co wielkie jest, lub bardzo nędzne —
Dzikie lub piękne—przez pół, nic nie lubię!...

(*po chwili*)

Słuchaj Gaumata, czy ty masz kochankę?

Gaumata (*spokojnie*)

Nie, panie!

Kambyzes.

Nie masz? Ty nie masz, Gaumata?
Lecz miałeś kiedyś?

Gaumata (*niechętnie*)

Nie pomnę, o królu!...

Kambyzes

(*zapalając się i rozkoszując sam swemi słowami*)

I nigdyż ciebie w jasną noc wiosenną
Nie nęci zapach różanego krzewu —
Wszak on dziewczyny wargi przypomina
Wilgotne, albo naprzemian gorące?...
I nigdyż ciebie, słońca blaski złote
Nie oślepiają—wszakże to kochanki
Oczy na pamięć przywodzi?.. I nigdyż
Para gołębi mlecznych, pieszczotliwa,
Krwi ci nie burzy i lic nie rumieni? —
Pomyśl, Gaumata!?

Gaumata (*poruszony, siląc się na spokój*)

Nie wiem, królu, nie wiem...
Pamiętam tylko, jak senne widziadło,
Jakąś medyjską, Anajty kapłankę...

Kambyzes.

Medyjska? a więc tyś z medów, Gaumata?

*) Wydrukowany w poprzednim numerze fragment, stanowi osobną dla siebie całość, podobnie jak i dzisiejszy drugi ustęp z pięknej tragedyi młodego poety.

G a u m a t a (*coraz więcej zmięszany*)
Tak, królu...

K a m b y z e s.
Ojciec miał tam wiele trudów —
Lud się buntował...

G a u m a t a.
Aftana ją zwano...

K a m b y z e s.
Kogo?

G a u m a t a.
Kapłankę tę....

K a m b y z e s.
A!...

G a u m a t a.
Piękną była!

K a m b y z e s.
Piękną?

G a u m a t a (*nie dopuszczając króla do słowa, z udanym spokojem*)
Gazella w swej chyżości niczem,
Jeżeli ona ruszyła się... Złota
Blask w słońcu—cieniem zdał się przy jej oczach...
Wicher pustyni—słabym przy uścisku
Jej ramion...

K a m b y z e s (*z zajęciem*)
I cóż?

G a u m a t a.
Lecz... to dawno było...
Znudzony—jam ją porzucił...

K a m b y z e s.
A potem?

G a u m a t a.
Potem?.. Nic więcej... Na tem koniec...

K a m b y z e s.
Koniec?
A dziś—Gaumata?

G a u m a t a.
Dziś- -nie lubię kobiet...

K a m b y z e s.
Więc masz przyjaciół wesołych?

G a u m a t a.
Nie, królu!

K a m b y z e s.
Matkę?

G a u m a t a.
Nie...

K a m b y z e s.
Syna .. I to nie... Nikogo?...
Człowiecze, czy wiesz, że ja ci zazdroszczę —
Ja—król Persydy?

G a u m a t a.
Mam brata, o panie!

K a m b y z e s (*zrywa się nagle*)
Brata?!

(*Patrzy przez chwilę wzburzony w oczy Gaumacie, poczem opierając się na jego ramieniu kurczowo, mówi z coraz większą nienawiścią, goryczą i zapałem*)

Masz brata... Słuchaj—i on głupi—
Nieprawdaż, głupi?

G a u m a t a (*nie pojmując*)
Królu...

K a m b y z e s.
I zazdrosny?
I zły? i nudny? i gnuśny? Od ojca
Lubiony więcej był, niż ty? Od służby
Czczony, jak przednie bóstwo!.. Gdyby nie on —
Wesele twoje, byłoby weselem —
Rozkosz, rozkoszą—a żywot czemś takiem
Niedoścignionem, wielkiem, miłem, wonnem,
Żeby się chciało żyć wiecznie... I onto
Zabrał dziewczynę, którąś umiłował —
Dziewczynę, której każdy uśmiech wiotki,
Możnaby płacić kawałkami tronu
I jeszcze zyski ciągnąć z tej zamiany!
Dziewczynę, która stworzona, by hieny
Krwi chciwe, kładły się przed nią łaskawie
Liżąc jej stopy, drobniuchne, różane!
Dziewczynę, której się nie zapomina,
Albowiem brak jej z lat twego żywota
Wszystkie, a wszystkie powyjmuje wiosny!
Dziewczynę, która gdyby słowo rzekła;
Świat cały, byłby jednym jej ołtarzem —
A bez niej niema nic!.. I tronu niema —
I szczęścia nie ma—i uśmiechów nie ma
I wiosny—słońca—róż — gwiazd — palm — nic nie ma!...
Gaumata—jakiem ja dziś bardzo biedny!

G a u m a t a (*podtrzymując opierającego się na jego ramieniu króla*)
Królu i panie!

K a m b y z e s (*odsuwając się od Gaumaty*)
Co to ja mówiłem?
Gaumata, ty mnie nic nie rozumiałeś?
Tyś nie powinien mnie rozumieć—słyszysz!
Chybabym kiedy ja sam tego żądał
I sam ci kazał przypomnieć tę skargę,
Która się dzisiaj z głębi mojej piersi
Wyrwała, jak pies z zamknięcia... O! ale
Wtedy świat zadrży i błękit się cały
Krwią zarumieni!

(*po chwili*)
Nic—nic—przywidzenie!
(*rzuca się na krzesło, zasłaniając twarz rękami*)

G a u m a t a (*n. str.*)
Ha! tajemnica ta ma dla mnie wartość
Nieobliczoną!...

(*głośno — klękając u nóg Kambyzesa z udanem uczuciem*)
Królu mój i panie!

K a m b y z e s.
To nic, Gaumata... Jestem rozdrażniony
I słaby... Patrzaj, Gaumata... o!.. głowa
Jak ogień płonie—a myśli się wszystkie
O ściany czaszki rozbijają, jako
Spienione fale wody o brzeg morski
Wśród burzy... To nic... Nie trwóż się, Gaumata,
Król twój nie może umrzeć w dzień narodzin,
A narodził się na tron dziś dopiero!

G a u m a t a (*j. w.*)
O! panie!

K a m b y z e s.
Jakież ty masz smutne lica,
Jakbyś mię kochał lub rozumiał...

G a u m a t a.
Królu!

K a m b y z e s.
Widzisz—zdarzają się dni, które nawet
Królom Persydy łatwiej i korzystniej
Byłoby przespać, niż przeżyć... Gaumata,
Chodź więc.... spoczniemy...

(*powstają—Kambyzes wspiera się na ramieniu Gaumaty*)
Zobaczysz mnie jutro...
I jeśli nie znasz dobrze, to nie poznasz...

(*postępują kilka kroków ku lewej i przechodzą koło wzniesienia tronowego*)

Zaczekaj... Prawda, jak ten tron mój pięknie
Błyszczy od słońca... Trzeba się postarać,
Ażeby błyszczał tak wśród ciemnej nocy...

(*zbliżają się w milczeniu ku wejściu z lewej — nagle Kambyzes zatrzymuje się, nadsłuchując*)

Co to?.. Słyszałeś?... Ktoś jęknął, Gaumata!
Ktoś się poruszył tam?.. Słyszysz?

(*postępuje na środek sceny, patrząc na prawo*)
Ha! bogi!
To ona — ona! Elsana — Elsana!

(*z coraz więcej szaloną i dziką radością*)
Czekaj—patrz! Ona nie idzie, lecz płynie —
Jak gdyby wiatrem leciuchnym niesiona —
Nie dotykając ziemi!.. Patrzaj, ona
Ma oczy łzami zroszone świeżemi —
A przecież łzy te ich promiennych blasków
Nie mogą zgasić... Gaumata, Gaumata!
Nieprawdaż, takiej kobiety nie znajdzie
Na całym świecie—nigdzie—nigdzie—nigdzie!
To skarb!.. to bóstwo! Zostaw mnie, Gaumata,
Ja ją pocieszę! Zostaw mnie!

(*Bieży ku wejściu z prawej i nagle cofając się z największą wściekłością*)
Ha! drżyjcie!
Ona nie sama!!!

. . . .

WYWRÓŻONA.

NOWELLA

SEWERA.

I.

Patrzała w karty głęboko i długo. Jedną ręką podparła brodę, drugą poprawiła okulary, a poprawiając rzucała badawcze spojrzenia na młodego człowieka, który również głęboko i długo wpatrywał się w ułożoną kabałę.

Milczeli oboje. Stara palcem uderzając po kartach, liczyła od prawego na lewo—i naodwrót—później nakrzyż. Nareszcie doliczyła się, inaczej znalazła, ręce zatarła, kiwnęła głową — i słowa wyroczni przesunęły się skrzypiąco, przez suche gardło, w krótkim, a dużo mówiącym frazesie:

— Zmiana losu!

— I.... mimowolnie szepnął młody człowiek.

— I... co chcesz sir przez to „i" powiedzieć— zapytała udając zdziwioną stara.

— Co mówi więcej kabała — rzekł spokojnie młody człowiek.

— Co więcej?—Karty milczą. „Zmiana losu" i ani słowa—nic.

Wyrazom tym towarzyszyło szybkie zebranie kart i gorączkowe ich tasowanie.

— Czy mam, sir, raz jeszcze pociągnąć? — przerwała Irlandka chwilowe milczenie, spoglądając z ukosa na młodego człowieka.

— To znaczy....—zapytał się badany.

— Szylinga, sir, tylko szylinga—odparła pospiesznie wyrocznia, mrużąc tajemniczo oczy.

Wyjęty z kieszonki kamizelki szyling, potoczył się po stole.

Chuda, koścista, pomarszczona ręka wyroczni pochwyciła go, karty jeszcze parę razy zostały stasowane, młodzieniec je zebrał — i kabała na nowo zaczęła rozpędzać ciemne chmury przyszłości.

— Widzisz, sir? — znowu to samo — zaczęła stara,—ale jak wyraźnie: patrz!

I w tej chwili, wyrocznia zaczęła stukać palcem po zbrudzonych kartach, dogadując w takt uderzeniom:

— Niema wątpliwości, zmiana losu— i już.

— I już—podchwycił młodzieniec.

— I już—zawyrokowała Irlandka — to znaczy, że się tak stać musi. I stanie się.

— Ale jak? — tego, sir, nie wiesz; a kabała wyraźnie mówi: zmiana losu, na rzecz blondynki— ładnej, młodej blondynki, którą wkrótce poznasz.

Młody człowiek ruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Nie wierzysz, sir? to się przekonasz—i nie-

raz jeszcze w swem życiu powiesz: stara Weeks ma węch na dziesięć lat naprzód.

— Ależ, moja pani, ja niemam pociągu do blondynek — odezwał się nieznajomy.

— Tak samo jak ja, zupełnie tak samo, a jednak, mój nieboszczyk mąż był blondynem. I cóż pan nato powiesz? Nie masz pociągu do blondynek, wierzę Ci,—a mimoto blondynka zmieni twój los! Co tam udawać — dodała po chwili—wy mężczyźni, wszystkie lubicie: czarne, białe, rude—byle młode! Takito już wasz ród.

Figlarne spojrzenia starej i nieustanne tasowanie kart, były obrachowane na wzbudzenie w obcym ciekawości i na wydobycie trzeciego szylinga z jego kamizelki.

— No i cóż, sir, pociągniemy raz jeszcze?

— Dosyć na dziś — odparł młody człowiek, zabierając się do odejścia.

— Jakto na dziś?!—zawołała urażona Irlandka. Ja nie stawiam kabał „na dziś.“ Ciągnę odrazu na całe życie, mój panie. Jeżeli na dziś, to idź pan do Feeg. Ona panu postawi „na dziś“ za dwa penny. U mnie kabała raz na dziesięć lat! Wiesz wtedy czego się trzymać i możesz spać spokojnie. Czy mam stawiać trzeci raz?

— Dosyć na dziś—powtórzył sucho a uparcie młodzieniec.

— Ciekawość cię pali, widzę to z twoich oczu, a żałujesz szylinga.

— Źle wróżysz, stara—dokończył zamykając za sobą drzwi nieznajomy.

Stara z impetem drzwi otworzyła, a nie chcąc być pokonaną, broniła się.

— Źle wróżę: dobrze, dobrze. A blondynka cię nie minie, choćbyś sto brunetek kochał! Zobaczymy. Idź do Feeg, dokończy ci za dwa penny.

Młody człowiek już był na ulicy, Irlandka odchyliła okienko, przedłużając rozpoczętą mowę.

— Otóż blondynka—wspomnisz moje słowa—pamiętaj. A teraz idź do Feeg, idź, idź nie wstydź się, czwarty dom na lewo. Blondynka! zobaczysz, i stanie na mojem...

Młodzieniec minął czwarty dom na lewo i nawet się nie obejrzał. Stara odetchnęła, pochwyciła karty i zaczęła je gorączkowo rozkładać.

— Gadaj ty mi tam—szeptała—gadaj, starej Weeks nie nauczysz kabały. Trzy razy, raz poraz wychodzi blondynka — i czego on jeszcze chce! Trzy razy i trzy asy obok siebie.

Reszta talii kart została z impetem rzuconą o stół. Wyrocznia okryła ramiona w szal, głowę przystrajała przed lusterkiem w kapelusz.

— Pamiętaj, raz już sobie przysięgłaś,—rzekła z mocą i powagą — że dla Feeg ani kropli, chociażby usychała z pragnienia. Za dwa penny kabałę stawiać? Podła! Wolę skonać, jak Feeg dać kroplę araku... Słyszysz? czy ty słyszysz Weeks—skonasz, a nie dasz—co? Nigdy!!—odpowiedziała sama sobie grobowo.

Tem zaklęciem monolog się skończył, a tymczasem kapelusz usadowił się jak mógł najlepiej na głowie — co było hasłem do opuszczenia małego domku, aby zaszczycić narożny szynk, tam dowieść swych wpływów i znaczenia, rozjaśnić kwestyę blondynki i upokorzyć dwoma szylingami, dwupennową Feeg.

Młody człowiek szedł ze spuszczoną głową, od czasu do czasu ruszał ramionami, uśmiechał się, stawał — i mimowolnie z ust mu wybiegało: „zmiana losu“—to zabawne!

— Po com tam poszedł i gdzie idę?... „Zmiana losu“—ha—jeżeli koniecznie! A więc idźmy drogami przeznaczenia!... Zmiana losu, no, i dlaczegóż jestem w wybornym humorze, chociaż dotąd nie myślałem o żadnej zmianie? Przecież nie wierzę w kabałę czarownic za dwa szylingi. „Zmiana losu“ w dwudziestym siódmym roku życia—gdy tu tak dużo, — stuknął palcem po czole,—a tak dotąd mało wokoło mnie i poza mną.

Poszedł dalej, nucąc wesołą piosenkę, dwudziestosiedmio-letni młodzieniec, zgrabnie zbudowany. Nerwowe ruchy zdradzały żywość, ogień błyszczący w oczach, uczucie i zapał; artystycznie wykrojone usta, dowcip i wesołość; a białe zęby, zdrowie. Poszedł drogami przeznaczenia, patrzał w niebo, nucił niedokończone arye, uśmiechał się i rozmawiał ze sobą.

Drogi przeznaczenia zawiodły go między małe domki i zielone ogródki.

Małe domki, przytułek pracy i spokoju. Praca i spokój lubią czystość i zieleń wokoło. Na szerokich ulicach obok małych domków szmaragdowa zieloność, a w oknach białe firanki przyciągały oko.

— Czyżto te drogi przeznaczenia mają prowadzić mnie do zmiany losu?—zrobił uwagę spoglądając dokoła. Tu tylko nadzieja i białość niewinności.

Domek mieszczański za dwadzieścia funtów rocznego czynszu—w domku niebieskie oczy, głębokie, a ciche westchnienie, herbata o piątej, kolacya o siódmej i dziennik przed ogniem kominka... „Zmiana losu“..... jak na wysokość skali dwudziestosiedmio-letnich pragnień magistra filozofii, mówcy i publicysty, dość skromna.

(d. c. n.)

Z TYGODNIA.

— Po kilkonastodniowej przerwie rozpoczął dalszy szereg odczytów, d-r Kazimierz Morawski z Krakowa, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, młody a znany już pracownik na polu badań literatury klasycznej.

Prelegent mówił o wymowie u starożytnych, z znaczeniem której w owych czasach, jasno, malowniczo, a wyczerpująco zapoznał publiczność, u wstępu, że wynalazek Gutenberga, teraźniejszy pośpiech druku i dzisiejsze znaczenie prasy—pogrzebały stanowczo dawniejsze wielkie, wpływowe i żywotne znaczenie *mówcy*.

Czem był dla dawnych hellenów na ich rynkach, a dla rzymian na forum, mówca owoczesny, tem są dla nas teraźniejsze dzienniki, notujące i streszczające w codziennych wiadomościach swoich, całe życie dzisiejszej cywilizacyi, zapisując z niego wszystko: od wielkich wypadków dziejowych, do najdrobniejszych prac ludzkiej myśli. Trochę czarnej farby—szmat bibuły szarej i kilka obrotów kół maszyny—a miliony ludów mają z tego codzienny pokarm umysłowy.

U starożytnych inaczej się to działo, oni słuchali *żywego słowa*. Na forum wychodził mąż fałdzistą odziany togą, czoło mu zdobił zielony, laurowy wieniec, marmurowe stopnie piedestału wznosiły się u brzegu morza, albo wśród dzieł wspaniałej, owoczesnej sztuki, lub w rozkosznym helleńskim ogrodzie.

U stóp mówcy stał kilkotysięczny nieraz tłum, wpatrzony, wsłuchany, z zapartym często w piersi oddechem; z żywo, gorąco, wspólnie bijącemi sercami;— to też to „żywe słowo“—było rzeczywistem duchowem życiem mass. Mówca, gdy wołał do narodu, zachęcając go do czynu, zawsze trafiał do celu. Wrażliwa na piękno wszelkie wyobraźnia greka i rzymianina, zapalała się razem z słowami mówcy, a mówca pojmujący swoje znaczenie i potęgę, całą siłą umysłu i sztuką, działał na słuchacza, żadnym środkiem nie gardził—wszystkich na pomoc wzywał.

Znaczenie „akcyi“ u starożytnych mówców,— profesor Morawski bardzo ciekawie, interesująco i dowcipnie zarazem, przedstawił publiczności, objaśniając, że to była osobna szkoła — z poważnem znaczeniem której — nawet tacy wielcy mówcy, jak Demostenes, sumiennie się liczyli — wiedząc, że piękne i gorące słowa, koniecznie z piękną akcyą łączyć się powinny.

Uczeń Demostenesa, pytający mistrza o tajemnicę potęgi jego wymowy, w czem się ona kryje—usłyszał od niego tę odpowiedź: „akcya, akcya i jeszcze raz akcya.“

Dalej profesor Morawski wykazał różnicę wymowy Greków i Rzymian, mówiąc o prostocie pierwszych, a napuszystości drugich, po których—jak słusznie dowiódł—wzięliśmy w spadku dzisiejszy „frazes“ i przedstawił publiczności w bardzo ciekawych uwagach rysy i charakter popiersi Demostenesa, Peryklesa i Cycerona, znajdując słusznie, w ogromnej różnicy między Demostenesem i Cyceronem wielką różnicę ich charakteru.

Wspomniał jeszcze prelegent w krótkości o znaczeniu wymowy religijnej, która, z rodzącem się na gruzach pogańskiego świata Chrześcijaństwem — rozwijała idee o nieznanym Bogu, a dziś zeszła ostatecznie do mów parlamentarnych, w których zaletą najwyższą, jest treściwość i logiczność wywodów.

Dowcipnie bardzo profesor Morawski przypomniał, grzech dzisiejszej prasy — pochop jej ku używaniu superlatywów, któremi szafując nad miarę — znajduje się nieraz w kłopocie — zkąd wziąść słowo, któreby jeszcze wyższym było przymiotnikiem, a krasząc cały odczyt swój przy jasności wykładu rzeczywistym dowcipem i humorem, zakończył sensacyjnemi słowami, że tylko taki mówca potężnym wpływem uderzy na słuchacza i przemówi do niego, który ogniem piersi własnej — pierś jego zapala i właściwem sercem do jego serca przemówi.

Szczere też, gorące oklaski, nagrodziły szanownego prelegenta — a my dodajmy jeszcze życzenie, by usłyszeć go powtórnie jaknajprędzej.

— „O życiu pod zwrotnikiem“—mówił p. Sygurd Wiśniowski, znany Warszawie z katedry, jako podróżnik—a z licznych i sympatycznie witanych zawsze prac w pismach naszych, literat.

Turysta nasz mówił tym razem o Kubie, tej „perle Antyllów,“ jak ją zowią hiszpanie—i stolicy jej Havannie, a opowiadając to, co tylko własnemi widział oczyma — a czem nie zawsze pochwalić się mogą wszyscy podróżnicy— rozwinął przed oczami słuchaczy, barwny, mozajkowy obrazek tamtejszych stosunków mieszkańców i obyczai.

Przesunęły się przed oczami słuchaczy postacie pięknych, próżnujących kreolek, z ładnie utrefionemi, pustemi główkami, leżących w malowniczych pozach, z cygaretkami w ustach, w oryginalnych nad wyraz tamtejszych wolantach—dalej, młodzi celadonowie, potrzebujący jak strojnisie warszawscy, całych godzin na wykończenie toalety, w skład której wchodzą wszystkie z kobiecej gotowalni kosmetyki—obok nich urzędnicy tamtejsi — wielcy przyjaciele „łapówek,“ zdzierający cudzoziemca dorożkarze—sprzedający na ulicy swój towar kupcy—pracowici tragarze chińczycy—i biedni, uznojeni zawsze na plantacyach murzyni.

Te to różnorodne i różnoplemienne postacie mieszkańców Kuby, przedstawiał nam pan Wiśniowski w różnych fazach ich życia: w kościele, w rodzinie, na ulicy, w biurze, w dworach wiejskich i za zamkniętemi żaluzyami miejskich domów, w których ruch poczyna się z nocą, a ustaje z dziesiątą, poranną godziną.

Oryginalne te domy hawańskie: na dole składy i pokoje mieszkalne, na piętrze spalnie, a na dachu... kuchnia, konie i krowy; chcąc się wydostać z podwórza na ulicę—przechodzą sobie najspokojniej przez salon lub pokój stołowy, w którym strojne podług paryzkiej ostatniej mody kreolki, przyjmują w owej chwili przyjaciółkę signioritte, lub woniejącego signiora...

Ale to dla europejczyka komiczna tylko strona hawańskiego życia, ma ono drugą, ciemniejszą, smutniejszą.

Hiszpańscy panowie wyspy, dumni pamiątkami przeszłości i grobem Kolumba,—znoszą obok siebie niewolę; szeregi czarnych biedaków, zgiętych wśród łanów cukrowej trzciny, świecą jak czarna plama na życiu mieszkańców, tej pięknej, bogatej, szczęśliwej wyspy, a od piersi matek zabierane niemowlęta i oddawane do wspólnej, szumnie nazwanej „szkoły,“ by ich matki już nie poznawały, gdyż są one tylko pańską własnością; jakże źle, smutno, świadczą o tej „perle Antylów.“

To też szlachetnie czujące serce podróżnika naszego, kreśląc nam obraz tej niedoli, woła w słusznem oburzeniu, że brak rzeczywistej oświaty, z tej pięknej wyspy, któraby mogła być ziemskim edenem, robi miejsce gonitwy za groszem, zapasów o zdobycie go, przy towarzyszeniu łez i krwawego potu niewoli.

Gorąco witająca prelegenta publiczność, pożegnała go serdecznym, długim oklaskiem, domawiając w duszy słowo „do widzenia.“

— „O związku ducha klasycznego z nowożytną literaturą.“

Temat ten obrał sobie d-r Paweł Popiel, były profesor b. szkoły Głównej, a znany publiczności, uczony klasyk i tłumacz Iliady.

Temat obszerny — bo mający związać w nić jedną pracę, pierwszych wieków cywilizacyi klasycznej, z tegoczesną — temat, w ramy którego wchodzą prace tylu wieków i tylu narodów. D r Popiel, tłumacz Iliady—obeznany dobrze z gruntem tamtej epoki—w bardzo uczono wywiedzionych wywodach, nawiązywał tu nici, wskazując słuchaczom, że klasyczne wzory greckie i rzymskie *były* i *będą* zawsze tą niewyczerpaną skarbnicą, z której wieki czerpały i czerpać będą—jak twierdzi prelegent.

Rzeczywisty klasycyzm, czysty, pierwotny, piękny formą, jasny myślą, szlachetny i podniosły nie był nigdy krępującemi więzami, nawet szkoły romantyków, a przytaczając porównanie Pana Tadeusza z Homerowską Iliadą, d-r Popiel stwierdził to zdanie, że rzeczywiste piękno jest wszędzie i zawsze jednakie.

Szkoda tylko, że szanowny prelegent, przemawiając z mównicy do naszej publiczności, nie obliczył, iż ona mniej przygotowana, niż jego byli słuchacze szkoły głównej, a trzymając odczyt swój w tonie akademickiej rozprawy i wypowiadając go dość monotonnie, nie zajął o tyle słuchaczy, o ile temat prelekcyi jego zająćby mógł, gdyby przystępniej i popularniej był wypowiedziany.

Nie wszyscy ową snującą się nić między wiekami związać sobie mogli w umyśle, a to co dla profesora prelegenta nawiązywań nie potrzebuje, ginęło bardzo często dla słuchających.

Przypomnienie przez d-ra Popiela chwil niepowrotnych, a najszczęśliwszych—jak się wyraził—w życiu jego, w których przemawiał z katedry tutejszej szkoły do młodzieży i dzielił się z nią zdobyczami swej pracy i wiedzy — było przyjęte bardzo serdecznie i sympatycznie.

— Od prelekcyi na korzyść Osad rolnych, przejdźmy do pedagogicznych odczytów w zakładzie pani Mleczkowej, wygłaszanych słowem jędrnem i potoczystością stylu, przez p. Adolfa Dygasińskiego.

W pierwszym odczycie, prelegent dał wykład dziejów nauczania poglądowego.

Szkoła średniowieczna uprawiała nauczanie pamięciowe wyrazów, o pojęcia świata nie troszczono się tu wcale.

Erazm Roterdamski zalecał nauki przyrodnicze i matematykę, jako przedmioty koniecznie potrzebne do zrozumienia klasyków; był to już postęp. Dopiero Franciszek Bakon z Werulamu, wypowiedział zasadę, która stanowi podstawę nauczania poglądowego: „nie należy nigdy odwracać oczu od rzeczy, ale trzeba pojmować rzeczy tak, jak one są.“

Zasady Bakona, stosował do nauczania Amos Komeniusz, najsławniejszy pedagog XVII wieku. Komeniusz twierdzi, że ludzie powinni czerpać swą wiedzę nie z książek, ale z patrzenia na niebo i ziemię. W szkole świata — mówi on — Bóg w ten sposób naucza i nauczył nas wszystkiego, co umiemy. Inny pedagog, Francke z Halli w szkole swojej prowadził nauczanie przez pogląd na rzeczy. Ale były to przykłady pojedyncze tylko.

Dopiero w połowie XVIII-go wieku wystąpił Rousseau ze swojem epokowem dziełem „Emilem,“ surowo ganiąc nauczanie wyrazów mechaniczne, a zalecając naukę istotnych rzeczy.

„Emil“ zrobił sobie wielki rozgłos w Niemczech i Basedow z Dessau, wprowadza w nauczanie doświadczanie rzeczy zmysłami, oraz zaleca, aby w szkole mniej było słów, a więcej czynności. Surowo powstawał przeciw nauce, polegającej na objaśnieniach słownych, Salzmann, który wzywał, aby dzieci przedewszystkiem obznajmiano z przedmiotami najbliższego otoczenia, z krajowemi płodami.

Salzmann powiada, iż — podobnie jak siłom ciała — tak samo zmysłom, pamięci, wyobraźni i oczu—mówi—powinny być dostarczane odpowiednie ćwiczenia.

Oprócz powyższych pedagogów, troszczył się o nauczanie w myśl zasad metody poglądowej, kanonik v. Rochow, twórca dzisiejszego szkolnictwa ludowego w Niemczech. „Rzeczy widzialne — mówi Rochow — są bardzo ważne w nauczaniu, pozostajemy bowiem w ich otoczeniu, spostrzegamy je zmysłami i od ich użycia zależy nasze ziemskie szczęście.“

Nikt jednakże nie ujął lepiej i nie zastosował prawideł poglądu, jak Jan Henryk Pestalozzi, pochodzący ze Szwajcaryi. Liczne dzieła, oraz praktyka pedagogiczna Pestalozziego, sprawiły ogromny przewrót w dotychczasowem nauczaniu. Wielki ten pedagog szukał zasady wychowywania dzieci w przyrodzie zewnętrznego świata i w umyśle dziecka, a najwięcej polegał on na wpływie macierzyńskim. Matka pierwszy raz otwiera świat dziecięciu, a przedstawiając jego zmysłom różne przedmioty, pobudza i kształci uwagę. Zasady Pestalozyańskie dotychczas są uprawiane przez wielu głośnych pedagogów europejskich i tylko w duchu tych zasad rozwijana pedagogika, ma przed sobą przyszłość wielką.

Drugi odczyt p. Dygasińskiego, miany w niedzielę, dnia 3 kwietnia r. b., obznajmił słuchaczy z bieżącym smutnym stanem wychowania elementarnego. Naucza się dzieci czytać i pisać, ale tak, że właśnie wskutek nauki czytania, wychowańcy tracą do czytania chęć, a pisać wcale nie umieją.

Nikt nie myśli o tem, że do książki jest droga przez rzeczy, o których się w książkach mówi. Prelegent zaznaczył, iż najważniejszą w szkole jest nauka moralności, ale mało jest kogoś przekonać, że taki a taki czyn jest godziwy lub nie, należy ludzi moralnymi zrobić istotnie.

Innym błędem jest zupełnie, zamilczenie w szkole elementarnej o krajowych rzeczach, o płodach, glebie, wodach i o historyi. Pragniemy, aby nasi wychowańcy, jako ideał zarządu kraju, uważali Dawida i Salomona, a Abraham, Izaak oraz Jakób, mają być modelami ojców rodziny. Przytem, system zarządzania dziećmi jest w opłakanym stanie, rządzi jeszcze strach jaknajpowszechniej, a uczeń opuszcza szkołę, unosząc z niej niejednokrotnie wychowane tutaj troskliwie uczucie nienawiści dla swoich przewodników. Jedyną korzyścią szkoły mogą być uczucia, do rozrostu których, jednak, wychowawcy nie przyłożyli wcale swej ręki,—uczuciu, przez które każda gromada stoi silnie: jestto solidarność towarzyska dzieci, wcześnie już poczynająca zakwitać.

W drugiej części odczytu, p. Dygasiński zastanawiał się nad naturą poznania, co stanowi istotne uzasadnienie nauczania poglądowego. Otworem stoją nasze zmysły, a przez nie, garną się zewsząd do umysłu rozmaite własności rzeczy; otrzymujemy wrażenia od rzeczy, a z wrażeń tworzą się pojęcia. Aby nauczanie było dobre, powinno być dużo wrażeń, poglądanie zaś powinno być dokładne i wielostronne, bo inaczej wychowaniec nasz nigdy nie będzie w stanie dobrze sądzić o rzeczach. Pierwsze poznanie ducha jest chaotyczne, wrażenia zlewają się w małoletnim umyśle w jeden obraz; ten obraz trzeba rozdzielić na części niejako, na pojęcia, co stanowi zadanie pracy wychowawczej. Kiedy szeregi wrażeń przypłynęły do umysłu ucznia od rozmaitych własności rzeczy jakiej, to wiedzieć należy, iż nie stało się to na jeden raz, ale powoli i w czasach różnych.

Prawdziwe poznanie atoli rozpoczyna się wtedy, kiedy uczeń umie odrywać od rzeczy różne jej własności, kiedy potrafi oddzielić od cukru np. białość, słodycz, twardość i t. d. i pomyśleć je sobie niezależnie od spostrzeganego kawałka cukru. Ażeby to módz uczynić, potrzeba języka głosowego.

Nauka języka związana jest naturalnie i nierozłącznie z nauczaniem poglądowem.

Prelegent poświęcił tej kwestyi znaczną część wykładu, illustrując ją licznemi przykładami.

Sprawozdawczy jednak charakter artykułu nie pozwala nam tutaj dłużej rozwodzić się nad tą ciekawą sprawą stosunku języka do poznania.

M. R.

RODZICE I DZIECIĘ,

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

Dziecię wiejskie postawione jest poniekąd na stanowisku pierwszych cywilizatorów ziemi naszej; w duszy jego złożony jest ów odwieczny popęd ludzkiego ducha: korzystać ze wszystkiego, co istnieje w otoczeniu. Rzeczywisty świat tak wyraźnie przemawia do zmysłów, prawa jego są niemal dotykalne, że w szczupłym zakresie działania, kiedy chodzi o czynności najzupełniej oznaczone, nie ma potrzeby zbyt nagłej ostatecznego rozwiązywania sobie mnóstwa zagadnień subtelnych. Każdy też wieśniak kształci się na swoją rękę i jest filozofem wedle swojej możności. Gdyby mu wychowanie szkolne dopomogło w jego usiłowaniach, byłoby ono, rzecz prosta, dobroczynnem.

Ale cóż jemu może dać nauka czytania, jeżeli w książce nie zdoła zrozumieć wyrażonych myśli? Pokazujcie mu wyższość jednego pługa nad drugim, przedstawcie (ale przedstawcie na przykładzie żywym) co za wartość ma szczepienie drzew, szanowanie cudzej własności, a on to wszystko zrozumie, bo jest zdrowym na umyśle i ciele uczniem przyrody. Wiejski nauczyciel zrobiłby dużo, gdyby w polu z wieśniakami pracował, gdyby ich nauczał na łące, w sadzie, nad rzeką, w lesie, wszędzie gdzie czynności ludu wiejskiego są prowadzone. Niech pod okiem nauczyciela jeden syn wieśniaczy wykona dobry ul, drugi niechaj wychowa olbrzymi burak, trzeci jabłoń ze szlachetnym owocem a wtedy lud zrozumie związek nauki z życiemi i wartość szkoły dla gminy. Inaczej, realny umysł naszego rolnika będzie zawsze przekładał wyższą wartość nauki zdobywanej własnemi siłami, nad naukę suchą, pobieraną w szkole i mającą jedynie zastosowanie wtedy, gdy idzie o położenie podpisu własnoręcznego w kancelaryi wójta gminy.

Naturalnie, nie można ze szkoły rugować nauki czytania, ale tylko niechaj czytanie nie będzie jedynym celem, i trzeba raczej powiedzieć sobie, że choćby nawet człowiek czytać i pisać nie umiał, to jednak pracowitym, moralnym i myślącym człowiek zostać powinien. Czytanie jest tylko środkiem, a nie celem; do celu zaś dojść można za pomocą rozmaitych środków.

O ile każdego przerazić może zaniedbanie wychowawcze klas pracujących po wielkich i większych miastach, o ile gwałtownie potrzebnemi tu wydają się być środki zaradzające nędzy fizycznej oraz moralnej, i o ile wielce zawile skombinowanemi są te stosunki,—o tyle spokojniejsi jesteśmy o rodzinę ludową i o tyle prostszą przed-

stawia się pedagogiczna kwestya na wsi. Każdy rozumny i szlachetnie czujący człowiek, współobywatel i współmieszkaniec, ma zupełną możność skutecznego wpływu, co zresztą tysiącem dowodów od dawnego czasu stwierdzić można.

W dziele wychowania, rodzice zapomnieni być nie mogą; bez nich, najlepszy nawet systemat pedagogiczny, wyda słabe tylko rezultaty. Pierwsze zwłaszcza lata dzieciństwa należą najgłówniej do rodzicielskiego wychowania; są to ważne chwile, zważywszy, iż przed siódmym rokiem życia rozpoczynają się czynności rozumu, i tworzą się nałogi, które później odegrają wielką rolę w życiu dojrzałego człowieka.

Wtedy to najwięcej ma znaczenia opieka macierzyńska. Dzieci powinny doświadczać tej opieki bezpośrednio, odbierają one bowiem wówczas wrażenia, mające trwać długo i ustala się moralność.

Dobrze więc dla dziecka, aby mierne, najemne siły, nie wywierały na nie wpływu.

Jest tu mowa o niańce i bonie, tych plagach naszego domowego wychowania. Jedna i druga, o ile wiemy, bywają zwykle ciemne, pełne przesądów, pozbawione głosu sumienia i stanowiące najgorszy żywioł w gronie domowników.

Spojrzawszy na wychowanie pacholąt w naszych rodzinach arystokratycznych i zważywszy jednocześnie upadek tych rodzin, upadek tak rączo postępujący, mimowoli musimy myśleć o upadku rzymskiego patrycyatu, który dzieci swoje powierzał niewolnikom. Powątpiewamy też mocno, aby proceder mamek, wydawać mógł dobre wychowawcze rezultaty. Jest coś wstrętnego i przeciwnego przyrodzie w opuszczeniu przez matkę potomstwa. To wynajmowanie cudzych piersi, aby podały dziecięciu słodką kroplę życia, ta pieszczota najętej kobiety, która własne dziecię powierzyła szpitalnej opiece — muszą to być zaprawdę, zboczenia, jakim ludzkość w każdej dobie swego rozwoju podlega.

I cóż jest warta społecznie młoda kobieta, której ciążą obowiązki matki? Zaprawdę, ani jej wdzięki, ani rozum, ani najbardziej dystyngowane maniery, nie są w stanie odkupić tego braku. Na samym bowiem progu rodziny popełnia ona bezprawie, podkopuje jedną z najtrwalszych instytucyi ludzkich.

Możeby się godziło tutaj rzucić kamieniem i na medycynę, która zdradza poniekąd sprawę stanu, poświęcając ją dla zawodu. Lekarz bowiem stanowi nieodzowny głos wychowawczy i powinnością jego jest na tym posterunku być strażnikiem prawdy; a prawdą jest, iż matka powinna karmić dziecię, które się z niej narodziło. Rzecz prosta, iż się tu nie mówi o położeniach wyjątkowych, gdzie karmienie dziecka zagraża śmiercią matce.

Nie pojmujemy nieobecności matki przy kolebce dziecięcia, gdzie nieustanna czujność i troskliwość są konieczne; wszakżeż matka tylko może być tłomaczem krzyku i różnych instynktowych objawów dziecięcia. Za żadne pieniądze dzieło takie odrabiane być nie może.

Ale obowiązek macierzyńskiej troskliwości nie ustaje, kiedy się rozpoczyna budzić intelligencya dziecięcia. Niedołężne, pozbawione przenikliwości matki, zepsutych klas bogatych, zdają się nie wiedzieć, że mamki pochodzące z ciemnego tłumu, posiadają, że tak powiem, tajemnice swego rzemiosła, aby sobie mogły ulżyć brzemię obowiązków; tu należą mechaniczne środki sp. owadzania snu dziecięciu, wywoływanie śmiechu, budzenie obawy za pomocą groźnych spojrzeń i gestów, uderzeń lub wstrząśnień. Ileżto zboczeń późniejszych rozumu i serca, może mieć tutaj swoje źródło!..

Oddać te wątłe roślinki w grubijańskie ręce, znaczy to, skazywać je zawczasu, aby mniej piękną woń wydawały w życiu, aby się nie pokryły świetnemi barwami... Któż zaprzeczy, że pomiędzy wszystkiemi organizmami, istnieje duża analogia, oparta na pewnej wspólności praw?..

Otóż u każdego organizmu żywego, przyszłość zależy od pierwszych chwil, kiedy się właśnie tworzy organizacya; a nie ma najmniejszej pewności, czy natura wprowadzona raz na bezdroża, odnajdzie znowu zgubioną drogę w następnym czasie.

Niebezpieczeństwo używania mamki przybranej, leży także i w karmieniu samem, czyli odżywianiu dziecięcia. Wiadomo, iż mleko jest pokarmem całego życia plastycznego, a każdy wiek domaga się odpowiedniego pokarmu, to jest pokarmu takiego, który może być łatwo przyswojonym organizmowi; stosuje się to zaś, zarówno do pokarmów fizycznych, jak i umysłowych.

Otóż, wszelkiego rodzaju pokarm, powinien być właściwie ustosunkowany, tak co do jakości, jako też ilości; powinien on być zastosowany do sił, mających go przetrawić. Tylko mleko matki jest zupełnie odpowiednim pokarmem, pozwalającym się przyswajać dobrze przez delikatne organa dziecka.

Przestąpmy epokę karmienia dziecka i przypatrzmy się, jak ono wygląda po raz drugi w cudzych rękach, w rękach niańki. Jestto stadyum wysokiej czynności dziecka; bystrość wzroku, oraz słuchu, są w tedy niezmierne, a świat zewnętrzny garnie się zewsząd do umysłu przez stojące otworem, bramy zmysłów: całe życie młodego człowieka, jest podówczas zmysłowe. Cieszmy się, gdyż to właśnie stanowi wyborny warunek edukacyi; ale niemniej jestto pora nadzwyczajnie sprzyjająca imaniu błędów, oraz szkodliwych wrażeń, które się przez oczy i uszy przedostają do umysłu.

Każde dziecię jest ciekawe, lecz ciekawością jego należy kierować; należy ją zwracać do przedmiotów, wywierających wpływ zbawienny. Powtarzanie pewnych wrażeń, budzi uwagę dziecięcia; obcowanie dziecięcia z ludźmi, będącemi w jego otoczeniu, pobudza je znowu do naśladownictwa.

Otóż, od chwili, w której się zaczyna ta epoka naśladownictwa, należy zwracać uwagę na otoczenie dziecka. Jeżeli osoby znajdujące się dokoła wywierają wpływ na dobre, lub złe usposobienie dziecięcia, to niemniej wywierają one także wpływ na jego intelligencyę, skromność, charakter. Każde uczucie, rzec można, ma swój pączek albo kiełek, który się rozwija odpowiednio do warunków, w jakich przebywa jednostka ludzka.

Co się tyczy przewrotności, to, jakkolwiek można przypuścić pewne dziedziczne usposobienie do niej, jednakże trudno znaleźć dzieci przewrotne; dopiero wychowanie czyni je takiemi.

Kronika Paryzka.

(Dokończenie).

Do równie skrajnych, nie należy wymieniona wraz z innemi *Humbertine Auclert*. Przynajmniej przeszłości *petroleuse* nie ma za sobą.

Sława jej datuje się — jak to zapewne czytelniczki nasze pamiętają—od chwili, kiedy odmówiła płacić podatków, występując z zasady, że nie używa na równi z mężczyznami praw politycznych. Obecnie założyła ona dziennik tygodniowy „La citoyenne,“ którego dwa już numera się ukazały. Sądząc z nich, nie przypuszczamy, żeby w zasadach redaktorka od wskazanych „menerek“ się różniła, odrazu bowiem na socyalnym staje gruncie. Dwa numera wreszcie jest zamało, żeby o kierunku jego i możliwym na społeczeństwo wpływie stanowczy sąd wydać. Kiedy materyał będzie obfitszy, nieomieszkamy z tej nowej kobiecej pracy, zdać sprawy czytelniczkom naszym z całą bezstronnością.

Jeśli wstręt pewnego rodzaju działalności wyżej wymienionych agitatorek budzi, natomiast do bardzo sympatycznych tutaj postaci kobiecych, należy pani *Edmond Adam*, znana także jako autorka pod pseudonimem *Juliette Lamber*. Jest ona redaktorką „La revue nouvelle,“ pisma, które coraz więcej uznanie zyskuje. A nie sądźcie, żeby redakcya ta była rzeczą zbyt łatwą!... „La revue nouvelle,“ więcej aniżeli każdy inny dziennik ma współpracowników i nadsyłanych artykułów, dla tej zapewne głównie przyczyny, że najdrożej ze wszystkich pism we Francyi autorom płaci.

Dokładnie to wiemy, że p. Adam, nie wyręczając się nikim, sama wszystkie artykuły czytuje, a o ile sąd jej jest właściwym i trafnym, najlepiej osądzić możecie z pisma, z którem się zapewne spotykacie. Systematyczne wyrabianie zdrowych republikańskich pojęć, jest główną redakcyi zasługą.

Prawdziwie też przyjemną i sympatyczną była uczta, jaką w dniu 20 lutego, współpracownicy „Revue“ redaktorce swej przygotowali.

We wspaniałych salach „Hotel Continentel,“ zebrało się ośmdziesięciu pięciu uczestników, a i cudzoziemcy tu licznie reprezentowanymi byli. Szereg niezliczonych toastów rozpoczął *Ferdynand Lesseps*, a z pomiędzy sonatów i licznych utworów poetyckich, szczególniej wiersz *Pawła Deroulède* prawdziwym wdziękiem się odznaczał. Z przyjemnością przytoczylibyśmy go tutaj, zabyt jednak wiele jeszcze do powiedzenia mamy; notujemy więc tylko, że Francuzi właściwą zasługę oceniać umieją.

Obiecywałem Wam, dawniej jeszcze szczegółową zdać sprawę z debatów w Izbie, nad kwestyą rozwodu, która odnośnie i do stanowiska kobiety i do społecznego swego znaczenia, wielką ma doniosłość. Jak Wam dawno już z dzienników zapewne wiadomo, — sprawa rozwodu upadła.

Jak jednak zdania były podzielone, i jaką znakomitą ilość obrońców miał rozwód, zrozumieć możecie z tego, że kiedy 261 głosów zawotowało „przeciw,“ 225 było „za...“ Chęć uszanowania obyczajów i religijnych ustaw... przemogła tym razem, a zastanawiać się nad powodami nie będziemy, sprawa to bowiem, która po niedługim czasie, znowu na stół powróci.

Z kwestyą rozwodu w Izbach, łączy się ściśle komedya *Sardou*: „Diverçons.“

Na parę miesięcy przed jej pojawieniem się, zapowiadano, że znakomity komedyopisarz, myśli przed głosowaniem w Izbie, stanowczy cios rozwodowi zadać.

Trzy miesiące już prawie upływa, jak komedya ta ogromnem powodzeniem się cieszy i prawdopodobnie długo jeszcze cieszyć się będzie.

Czy myślicie może, że sukces ten jest rezultatem poważnego rozwiązania ważnej kwestyi społecznej?.. Broń Boże. „Diverçons“ jest w całem znaczeniu tego słowa... *farsą*, gdzie mnóstwo dowcipu, dużo skandalu i niesłychanie wiele ruchu. Sama już ta okoliczność, że Sardou komedyę swą oddał do „Palais Royal,“ świadczyła o jej lekkości, teatr ten bowiem tradycyonalnie, zabawę za główny cel swój kładzie.

Gdyby niechodziło o kwestyę tak ważną, chętnie i mybyśmy ulubieńcowi sceny francuzkiej przyklasnęli, „Diverçons“ bowiem posiada niezrównane zalety sceniczne.

Temu jednak, kto ma pretensyę do nawracania mas, z ważnej sprawy igraszki robić się niegodzi.

A raczcie osądzić same, czytelniczki, jak panowie „Sardou et Nojac,“ kwestyą rozwodu traktują.

Państwo *Des Prunelles* stanowią podług autora, bardzo niedobrane małżeństwo. On przeżyty i światem już znudzony, zachowuje wprawdzie względem żony wyszukaną grzeczność i galanteryą, ale dla niej, kobiety młodej, namiętnej, pełnej życia, to nie wystarcza.

Cyprienne (żona) też ma kochanka, postanawiając wszakże nie schodzić z drogi honoru, czeka na zawotowanie przez Izby rozwodu. Kochanek, chcąc szczęście swoje przyspieszyć, zawiadamia, że rozwód postanowiony. Cyprienne wtedy o decyzyi rozłączenia się, męża swego zawiadamia. Ten wzbrania się długo, skoro jednak o wszystkich powodach się dowiedział, z miną dobrego kolegi, na propozycyą się zgadza, daje swej żonie w przyjacielskim tonie, rozmaite praktyczne nauki, i pozostawiwszy ją wybranemu, sam na obiad do restauracyi się wybiera.

Pełną niezrównanego dowcipu jest scena, gdzie żona opowiada mężowi, jak stosunki jej z kochankiem zaszły.

Następnie wszakże, w głowie Cyprienne rodzi się przypuszczenie, że zapewne mąż jej ma jakieś rendez-vous w restauracyi umówione. Ztąd wynika zazdrość, która ją doprowadza do tego, że niepomna na zaproszenie kochanka, na które przy obiadem czekać przyrzekła, z mężem do restauracyi się wybiera. Tu zamknięci w osobnym

gabinecie i przez służbę za parę kochanków brani zostają, a pani żona licznemi kielichami szampana, wesołość swoją podsyca.

Tymczasem strapiony kochanek, uważając się już prawie za męża, po całym Paryżu zguby swej szuka; aż wreszcie naprowadzony na trop, z komisarzem policyi, rendez-vous dawnych małżonków odkrywa.

Cyprienne tymczasem literalnie się *upija*. Zabłocony i zziajany kochanek, wydaje jej się śmiesznym, a mąż prawdziwie dowcipnym i jedynie miłości godnym. Kochanka więc odprawiają z kwitkiem, i małżeństwo w najlepszej komitywie wraca do domu.

Z tej więc krótkiej treści widzicie, że z poważnej społecznej kwestyi, zrobiono niesmaczną, a skandaliczną niezmiernie zabawkę. Jak pan des Prunelles nie jest wcale człowiekiem zasad, ale podstarzałym motylkiem, tak Cyprienne nie jest kobietą poważną, ale prawdziwym typem „kokotki," zwłaszcza, że wyborna zkądinąd gra p. *Chaumont*, rolę tę do prawdziwej szarży posuwa.

Kto w teatrze zabawy szuka, na „Diverçons" uśmieje się dowoli, niesmak jednak i przykrość uczuć się musi, skoro nad treścią się zastanowi.

Ponieważ do teatru wkroczyliśmy, niepodobna milczeniem pominąć takiego *evenementu*, jakim zwykle dla Paryża bywa pojawienie się nowej sztuki, autora takiego jak *Dumas*. Wiele chybionych kreacyi komedyopisarza tego, zna scena Warszawska, najniefortunniejsza wszakże bez kwestyi, jest ostatnia jego w trzech aktach komedya: „La princesse de Bagdad." Najpiękniejsza myśl, że macierzyństwo ocala kobietę na drodze upadku, przeprowadzona jest tutaj tak nienaturalnie, tak nie łączy się z całą kwestyą komedyi i tak się podpiera skandalem, że autor, który nam już często w absurda wierzyć kazał, tu przechodzi wszelkie granice prawdopodobieństwa.

Hrabstwo *de Hun* są zrujnowanem małżeństwem. Piękna hrabina ma wielbiciela w panu *Nourvady*, stokrotnym milionerze... Wyznaje on jej swą miłość i zapowiada, że czeka na nią urządzony zupełnie i przeznaczony dla niej „Hotel au Champs Elysés," w salonie którego szkatułka napełniona milionem *d'or vierge*, jest na jej usługi.

Pani de Hun propozycyę odrzuca. Tymczasem mąż, mając dosyć usprawiedliwione powody, robi jej wyrzuty. Obrażona hrabina ciska mu w oczy wyrazem *imbecile*, i bez żadnej racyi do wskazanego hotelu spieszy. Tu moralizuje kochanka, a kiedy hrabia (z nieodłącznym we francuzkich komedyach) komisarzem policyi drzwi wyłamuje, *Lionette de Hun*, chcąc umyślnie ściągnąć na siebie pozory winy, której dotychczas nie było na scenie (o horror!) się rozbiera...

W trzecim akcie zjawia się... synek, o którego dotąd nikt nie dbał, i na płacz jego wszystko do porządku powraca.

Dodajmy, że bez sensu jest także genealogia Lionette de Hun, którą jest właśnie owa princesse de Bagdad, a z podziwu nie wyjdziemy, dlaczego autor tyle bredni tu naprowadził.

Publiczność francuzka wyjątkowo dla Dumasa łaskawa, tym razem sztukę wygwizdała i żałować rzeczywiście przychodzi przepychu, na jaki w wystawieniu jej „Comedie Française" się zdobyła, a szczególniej znakomitej gry panny *Croizette*.

Dla świata wszakże wystarcza mieć imię głośne, bo chociaż komedya ta na scenie francuzkiej upadła, to już ją grają w Rzymie, już ją zamawiają do Wiednia. Obawiamy się, żeby i Warszawska scena za tym popędem nie poszła. Jeżelibyśmy z pobłażaniem, jedynie dla dania możności popisu znakomitym naszym artystom „Diverçons" tam widzieli, to zawsze przykrośćby nam sprawiało, przeszczepianie do nas takiego niezdrowego owocu, jak jest „Princesse de Bagdad."

Na końcu, chciałem gosposie nasze uraczyć i o rzeczach dla nich ciekawych z zamkniętej tu wczoraj wystawy rolniczej napisać, bojąc się wszakże nadużywać cierpliwości Waszej, odkładam to do następnego listu.

WIEŻA NA DAGÖ.

NOWELLA

A. JÓKAÏ'A,

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy).

U bramy oczekiwał na przybyłych jeden jedyny stary, garbaty odźwierny, nadomiar jeszcze głuchy jak pień.

Komodor musiał doskonale krzyczeć mu w uszy, nim zdołał zrozumieć jego pytanie; wtedy zaś dał taką odpowiedź, z której znów Komodor nie zrozumiał i słowa: stary mówił czystem, ludowem narzeczem niemieckiem, tak zwanem *plat-deutsch*. Na migi zaledwie zdołano się wreszcie porozumieć o tyle, że stary jedynym jest tu sługą i że jeśli chcą się rozmówić, mogą udać się na górę do pana.

Komodor kazał wszystkim swym ludziom wysiąść na ląd i wraz z nimi udał się ze starym odźwiernym. Gdzie po drodze natrafił na drzwi jakie, tam stawiał zawsze przed niemi po dwóch zbrojnych. Kiedy doszedł do gloryety, miał z sobą jeszcze tylko nadretmana i podporucznika, młodziuteńkiego chłopca. I to też wystarczało zupełnie. Pan domu był sam jeden w swej pracowni i niemiał pod ręką żadnej broni.

Komodor powitał go piękną francuzczyzną.

— Pan jestes właścicielem tej wieży?

— Jestem nim obecnie.

— A w jakimże celu kazałeś pan tę wieżę wybudować?

Gospodarz popatrzał na niego wielkiemi oczyma.

— Wolnoż mi pierwej się dowiedzieć, co pana do podobnego pytania upoważnia?

— Natychmiast się pan dowiesz. Z munduru mego widzisz pan, że jestem komodorem na liniowym okręcie Jego Cesarskiej Mości, samowładzcy Wszech Rosyi. Trój-pokładowiec, który stoi tu na kotwicy—jest moim okrętem. Podczas lat ostatnich, niezmierna moc okrętów zatonęła na Bałtyku w okolicznościach dziwnie zagadkowych. Z tego powodu otrzymałem rozkaz przytrzymywania i zrewidowania każdego podejrzanego statku na pełnem morzu i obejrzenia ściśle każdej wpadającej w oko budowli na wybrzeżu. Jestem hrabia Zenon von U n g e r n.

Jakże rysy właściciela wieży na Dagö musiały już być wzwyczajone do spokoju umarłych, że na dźwięk tego imienia nie zadrgały wszystkiemi złemi namiętnościami, wśród których najgorszą ponad wszystkie, była—radość!

Więc to był brat jego!

Obadwaj bracia nie widzieli się od lat dziecinnych ani razu.

Zenon odwiedzał dom brata zawsze tylko w czasie jego nieobecności, gdy mu uwodził żonę; Fieodor zaś nigdy nie zstępował na ślizkie dworskie posadzki. Niemniej też zdawał się starszym daleko niż był w rzeczywistości. Brat nie mógł go poznać.

Fieodor skłonił się grzecznie swemu gościowi.

— Cieszy mnie bardzo, że mam szczęście.... Nazywam się baron Helmford.

— Szwed?

— Moi przodkowie mogli być Szwedami: ja pochodzę z Fryzyi.

— A co pan tutaj robisz?

— Żyję zajęty obserwacyami przyrodniczemi. Jest tego bezwątpienia inna jeszcze przyczyna, której nie będę tail przed panem.

— Dlaczegóż nie wyjawiasz jej pan odrazu?

— Bo mogłoby słyszeć to „dziecko."

Była to alluzya do młodziutkiego podporucznika.

— To syn mój, Paweł—odparł komodor z ojcowską dumą—podporucznik na liniowym okręcie Jego Cesarskiej Mości „St. Tomasz." Słyszał on już rozgwar nie jednej bitwy.

— Nie wątpię o tem. A prawdopodobnie niema przecież więcej nad trzynaście lat.

— Właśnie tyle.

— I ja mam syna; ma on już lat szesnaście i o niejednem zasłyszał już niebezpieczeństwie. Czego wszakże nigdy nie wolno mu było słuchać, to historyj dotyczących kobiet.

— W tem masz pan zupełną słuszność. Jeśli to coś takiego, w takim razie o nic już nie pytam.

— Jeśli pan sobie życzysz, mogę sam go oprowadzić po wszystkich pokojach i komórkach tego budynku. Racz pan iść zemną.

Fieodor szedł przodem. Kamienne schody prowadziły z jednego piętra na drugie. Piętra te podzielone na małe pokoiki, łatwo wprowadziły w błąd przybysza, który sądził, że zwiedził całą wieżę, wówczas gdy obejrzał z niej tylko dwie trzecie części. Osobna ściana oddzielała od piwnic aż do najwyższego piętra jednę część wieży. Tu mieściły się wszystkie zrabowane skarby, amunicya, armaty, wszystko to doskonale ukryte i ztąd też prowadziła tajemna galerya w głąb do koszar, gdzie nagromadzone były środki żywności i do podziemnej kaplicy, gdzie się ukryli uzbrojeni korsarze oczekując sygnału, by wpaść przez drzwi spuszczane do drugiego oddziału wieży.

Owe pokoje, po których oprowadzano komodora, miały zupełnie pozór komnat uczonego badacza; były w nich zbiory przyrodnicze, muszle i korale, starożytności, paki książek, szafy pełne pożółkłych foliałów. Wyjrzawszy przez jedno z okien, zobaczył komodor przed sobą w głębi ogródek zasadzony kwiatami, w którym w tej chwili właśnie pelno było jesiennych astrów i georginij.

— Ach! ten ogród zdradza, że tu mieszka kobieta.

— Żałuję mocno, że i tam nie mogę pana zaprowadzić, hrabio von Ungern, musielibyśmy przechodzić przez buduar kobiecy.

— Czy to pańska żona?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Tak i nie, jednak...

— Ach! tajemniczy jakiś stosunek.

— Aby jednak nie wydawał się podejrzaną tajemnicą, panie hrabio, uczynię panu pewną propozycyę. Gdzie wejść nie może m ę ż c z y zna, tam wolno przecież próg przestąpić gościowi, będącemu jeszcze d z i e c k i e m.

Z temi słowy otwarł drzwi boczne i zawołał donośnym głosem:

— Aleksandrze!

Na zawołanie, wszedł z bocznego pokoju smukły, ogorzały młodzieniec; twarz oblana młodocianym rumieńcem, zdradzała pewne zakłopotanie, na widok nieznajomego. Fieodor ujął go za rękę i posunął nieco ku drugiemu młodzieńcowi.

— Patrzaj: ten panicz, jestto hrabia Paweł von Ungern, podporucznik. Podaj mu rękę i przedstaw go twej m a t c e. A potem zaprzyjaźnicie się z sobą.

Aleksander popatrzył wielkiemi swemi ciemnemi oczyma, zadziwiony, naprzód na ojca, potem na nieznanego mu młodzieńca. Następnie w milczeniu wyciągnął do Pawła rękę i silnie uścisnął jego prawicę, wreszcie pociągnął go ku sobie i ucałował w twarz, nakoniec objął swem ramieniem i poprowadził do swej matki.

Ta szczerze zdumiona, radośnie zarumieniona, twarz chłopięcia rozbroiła wzupełności niemal nieufność hrabiego. Począł w to wierzyć, że te mury nie ukrywały innej tajemnicy, nad jakąś tragedyę miłości. Może przecież ktoś mieć słuszne powody, zamknięcia się przed całym światem z kobietą, której twarzy nikt widzieć nie powinien, prócz dziecka, którego wiek nie jest dłuższym nad istnienie tej wieży.

A przecież kobietę tę mógł widzieć każdy w świecie, tylko nie Zenon von Ungern. Onby musiał był w niej poznać natychmiast mamkę dziecka swego brata, którą tak często widywał w jego zamku. A rysy kobiet nie zmieniają się tak, jak rysy u mężczyzn. Wówczas odgadłby też odrazu Zenon, kim jest pan domu.

W pokoju jadalnym zatrzymali się byli właśnie. Mały stolik był nakryty: zastawione śniadanie, obok sądek piwa świeżo odszpuntowany. Wszystko tak zachęcające.

— Moglibyśmy zaraz tu pozostać,— ozwał się pan domu. Nadretman może sam już obejrzeć resztę pokoi, śpiżarnie i komory, w których niema nic nadzwyczajnego; mój stary odźwierny mu je pootwiera. Za powrotem złoży raport ze swych spostrzeżeń.

Roześmiał się, i komodor zawtórował mu śmiechem. Śmiech ich zaś, był echem innego, co dobiegał ich ucha z ogrodu, gdzie się bawili dwaj chłopcy.

Komodor wychyliwszy się oknem widział ich obu w jaknajlepszej z sobą harmonii. Próbowali o zakład kto komu ugnie ramię. Donośny, czysty głos kobiecy, dochodzący z drzwi otwartych, napominał ich, by jeden drugiemu nie zwichnął ręki; a nie łajał ich za to bynajmniej, że zapaleni walką, nie zwracali uwagi na jej kwiaty, i deptali je nielitościwie.

Ależ to są dobrzy jacyś ludziska!

VIII.

Aleksander doznał w swem życiu pierwszej radości od czasu jak się dlań skończyły radości lat dziecięcych.

Mógł on gościowi swemu, ukazując Maszę, powiedzieć:

— To moja „matka."

I tem była mu też rzeczywiście. Od lat niemowlęctwa, ta kobieta zajęła dlań miejsce matki, istotna matka czem innem była zajętą. Ta kobieta kochała go, od niej dowiedział się, że na świecie inne jeszcze są uczucia—jak gniew i nienawiść.

I większą jeszcze było dlań radością, gdy mógł przedstawić swego gościa.

— Patrz, matko! to jest Paweł von Ungern. Ojciec powiedział mi, że go mam m a t c e mojej przedstawić, i że mamy się z a p r z y j a ź n i ć z sobą.

I łzy błyszczały w jego oczach.

Toż on wiedział tak dobrze, kto to jest ten Paweł von Ungern.

Masza wiedziała jedną rzecz, o której nigdy przecież nie wspomniała przed Fieodorem, że ów Paweł był już na świecie, gdy jego spotkała pamiętna katastrofa. Jego to urodzenie właśnie było powodem jej wybuchu. Dwoje ludzi, których grzeszna namiętność przywiodła do upadku, mieli powód niedopuścić, by on się o tem dowiedział.

Kobieta, co pierwszy grzech popełniła, była zmuszoną ukryć go nowemi grzechy. Mąż niedowiedział się też nigdy tej tajemnicy. Ale Masza raz w godzinę zwierzeń, gdy chłopiec przed okropnemi naukami ojca uciekł do prostej dziewczyny, opowiedziała Aleksandrowi szeptem, że w tym wielkim świecie, który wraz z dziecięcemi laty zniknął mu z przed oczu, ma wielkich, potężnych wrogow: swego stryja i jego syna, przyrodniego swego brata. Z jego to powodu musi młode swe życie, trawić w tej skalistej pustyni bezczynnie.

A potem powiedziała mu, że bardzo, bardzo dobrzy ludzie, którzy chcą się Bogu podobać, powinni przebaczać swym wrogom, i nauczyła go wówczas wielce prostej modlitewki, którą człowiek sprawiedliwy odmawiać powinien zawsze za swych nieprzyjaciół, by ich Bóg nawrócił, oświecił, by go przestali prześladować, by się z nim pogodzili, wyswobodzili z tego więziennego życia i wyciągnęli 'ku niemu dłoń pojednawczą. Masza wymogła na Aleksandrze tyle, że odtąd co wieczór, przed zaśnięciem, modlił się za swego brata, który już w godzinę swych urodzin stał się jego prześladowcą.

Teraz więc, kiedy mógł powiedzieć Maszy: „Patrz, to jest Paweł Ungern; ojciec powiedział mi, że go mam zaprowadzić do Ciebie i z nim się poprzyjaźnić!" w słowach tych wyrażało się uczucie: „A więc modlitwa moja odniosła przecież skutek. Wróg przejednał się, przychodzi mnie wybawić. Bóg więc jest dobrym, i dobrym jest też ojciec. I mogę teraz kochać zarówno Boga jak ojca — i mogę też kochać nieprzyjaciół moich."

Masza pojęła doskonale myśl tych słów jego, i objęła uściskiem obie młodzieńcze głowy, zbliżając je ku sobie i jednocząc w jednym pocałunku.

— O, tak, kochajcie się wzajemnie!

Potem wyniosła z szafki wszystko co najlepsze łakocie, i obaj chłopcy musieli z jednego jeść talerza.

Paweł opowiadał przez ten czas Aleksandrowi o wielkim świecie, tak mu już dobrze znanym. Był już raz nawet w bitwie morskiej z korsarzami.

Przytem przyszło na myśl Aleksandrowi, że korsarze w walce na szable, mają całkiem właściwe sobie fortele i pchnięcia; wyjął więc broń fechtunkową, i począł uczyć Pawła tych cięć mistrzowskich: będzie ich mógł użyć kiedy, jeśli na morzu znajdzie się w bitwie z korsarzami.

Jakież to było dlań szczęście, że raz w życiu spotkał się z rówieśnikiem, że znalazł zabaw towarzysza. Jak biło mu serce, gdy patrzał na brata. Jakże się cieszył, że z niego taki piękny, taki silny chłopak; gdy się fechtowali, baczył pilnie, by go tępym końcem broni, zbyt mocno nie uderzyć, żeby go to nie bolało czasem; a kiedy tamten przypadkiem uderzył go silniej, śmiał się z tego: „Nie, to mnie nie bolało" i chwalił go zato.

Masza przypatrywała im się z swego okna i otarła łzy, co zaświeciły w jej oczach — łzy radości.

IX.

Obaj starzy zabawiali się tymczasem rozmową.

Żołnierze przeszukali już byli wszystkie kąty i komórki wieży, i powracający nadretman zawiadomił, że nic godnego uwagi nie znaleziono.

Fieodor wówczas wziął do ręki trąbkę akustyczną.

— Pozwól pan, że wydam memu odźwiernemu zlecenie ugoszczenia tych dzielnych żołnierzy. Biedaczysko jest głuchy.

Począł coś mówić odźwiernemu przez trąbkę do ucha. Nikt zresztą słyszeć nie mógł co mówi.

Odźwierny zrozumiał rozkaz. Skinął na majtków, stojących u progu drzwi, kazał im wynieść sądek z piwem. Mogli je pić bezpiecznie. Piwo nie mogło przecież być zatrute, toż obaj panowie pili je również.

Wówczas Fieodor z szafki ściennej wyjął butelkę cherry z odpowiedniemi szklaneczkami i nalał je. Pozostali znowu sami.

— Nie spieszy mi się jeszcze, puszczać się ztąd w dalszą drogę—mówił Zenon— i zamierzam na noc dzisiejszą prosić pana o gościnność. Nie będę też przed nim taił powodu mego tu pozostania.

— Zanim pan to uczynisz, proszę, pozwól, bym zawiadomił gospodynię domu, że goście nasi i na noc tu pozostaną. O moich gościach ja już sam bedę miał staranie, niechajże i ona pomyśli o swoim.

— Bardzo chętnie.

Poczem Fieodor wszedł do pokoju Maszy, zostawiając drzwi wpółotwarte, aby Zenon słyszał, co do niej mówi.

— W pokoju Aleksandra jest jedno tylko łóżko, obaj chłopcy będą przecież mogli spać na niem.

— Czemużby nie ?

Cóżto za radość będzie dla Aleksandra, gdy przed zaśnięciem, obejmie szyję Pawła swemi ramiony. Dziś nie będzie potrzebował odmawiać zwykłej swej modlitwy, o co błagał, to już spełnione.

Fieodor ukończywszy swe dyspozycye, powrócił do Zenona.

— Teraz, panie, gotów jestem słuchać twych powodów. Pierwej wszakże trąćmy w kielichy.

— A więc „*vivamo noi!*" jak mówi Włoch — zawołał Zenon, — muszę tem rozpocząć, że ja, i cała moja załoga, przez ciąg ubiegłej nocy, słyszeliśmy wciąż zdala dźwięk dzwonu.

— Rzeczywiście ?

— Tak, rzeczywiście. Odgłos ten dzwonu wprowadził nas w błąd widocznie. Moi oficerowie, którzy z mappą i kompasem niezupełnie dobrze umieją się obchodzić, utrzymywali, że to dźwięk dzwonu z Gustavsvörn aż tu się musiał zabłąkać, a że światła nie widać, tego przyczyną mgła zbyt gęsta. Ale mój sternik, chłop nieokrzesany, klął się, że od tej strony nie może dobiegać głos dzwonu z Gustavsvörn, bo to leży zupełnie na północny-wschód, dzwon zaś słychać od strony znacznie więcej wschodniej. Wedle jego mniemania, te bijące dzwony nie są czem innem, jak figlami złego ducha. W tej okolicy podobno, jest na dnie morskiem, w głębi, zapadłe miasto, i w takie mgliste noce, w ciszy, słyszą żeglarze bicie w dzwony pogrzebionych w fali morza monasterów. I to jest ich zgubą, tam bowiem, gdzie ich wabi dźwięk dzwonów, są najniebezpieczniejsze właśnie skały podwodne i wiry. Podobno nawet istnieje tu jakieś podanie ludowe w tym rodzaju. Nie jest panu czasem ta baśń znana?

— Owszem.

— Nie zechciałbyś mi jej pan opowiedzieć?

Fieodor wówczas na zawołanie skomponował baśń jakąś, o zatopionem w morskiej głębi mieście i dzwonach w mglistą noc odzywających się z nurtów. Sądził, że Rossyanin, choćby i komodor, jest zabobonnym zawsze. Może i tem się zadowoli.

— A pan sam, czy wierzysz w tę legendę?

Fieodor popatrzył w oczy pytającego, potem wzruszył ramionami.

— Ba! jakżebym miał w to wierzyć?

(dok. nast.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Jednej prenumeratorce: Rs. 4 odebraliśmy i według życzenia Pani, zostały wręczone biednej rodzinie. Sukieneczka pikowa dla dziecka rocznego może być zrobiona, o rubla wyżej od ceny przez Panią podanej.

Pani *Targ. w Buszynce*. Forma stanika wysłana; należy nam się kop. 40.

Pani *Rud. w Bałcie*. Suknia wysłana jeszcze przed tygodniem.

Pani *Jodko w Goszczy*. Robota sukien, trochę nie z naszej winy uległa zwłoce; przed świętami Sz. Pani odbierze je z pewnością. Obszerniejsze szczegóły w liście.

FASON z BIBUŁKI.

Zawiadamiamy czytelniczki, że rycina kolorowana przeznaczona do tego numeru,—do tej pory z zagranicy nie nadeszła; w miejsce jej dajemy Fason z bibułki najnowszego Dolmana „Sévigné;" składa się on :

1. z przodu,
2. z rękawa,
3. z klinika, stanowiącego spodni rękaw,
4. z pleców wązkich, które są podstawą,
5. z pleców szerokich, które się marszczą i przypasowują do wązkich pleców, zakończając kokardą.

Rycina dołączona do fasonu, objaśnia wykonanie.

Dla wiadomości Osób

na prowincyi zamieszkałych, które przysłać pragną miarę na fasony z bibułki, lub zamówienia na robotę w **naszej pracowni**, podajemy sposób dokładny brania miary.

Miara bierze się w następujący sposób:

1) Długość pleców od szyi do talii.
2) Szerokość pleców, gdzie się zaczynają boczki pierwsze w staniku.
3) Długość przodu od szyi do talii.
4) Szerokość piersi.
5) Objętość w gorsie, t. j. przeprowadzić miarę pod pachami przez całą figurę.
6) Objętość talii.
7) Długość rękawa.
8) Długość spódnicy z przodu.
9) Długość spódnicy z tyłu.

Do oznaczenia miary, używamy miary francuzkiej, metra podzielonego na centymetry.

Wszystkie długości przy braniu miary, piszą się w całości, a szerokości w połowie.

Pracownia sukien, przy **szkole rzemiosł** istniejąca, przyjmuje zamówienia na **suknie, okrycia** i **dziecinne ubranka**. Prenumeratorki z prowincyi, przy zamówieniu, dołączyć powinny wyżej wskazaną miarę.

Cena sukni wełnianej z naszego materyału od rs. 25 i wyżej.

Cena okrycia . . . . od rs. 20 i wyżej.
„ ubranka dziecinnego od rs. 3 i wyżej.

OGŁOSZENIA

przyjmują się w cenie 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ NUMERU: Drugi wyjątek z tragedyi w 5 aktach p. t. „Kambyzes" przez Juliana Łętowskiego.—Wywróżona. Nowella Sewera.— Z tygodnia. — Rodzice i Dziecię, p. Adolfa Dygasińskiego (dokończenie).—Kronika Paryzka (dokończenie).—Wieża na Dagö. Nowella A. Jokai'a, przekład A. Callier.—Odpowiedzi od Redakcyi.—Ogłoszenia. **W Dodatku:** Anna Hereford, przez Henryka Wood. Powieść z angielskiego.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Fason z bibułki: Dolman Sévigné i Dodatek powieściowy, „Anna Hereford," ark. 3.

Дозволено Цензурою. Варшава 27 Марта 1881 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**